Dwa tysiące się należy

© MIROSŁAW GRYŃ

Jeszcze nigdy w walce o wysokość płacy minimalnej związkowcy nie byli tak silni, a rząd tak słaby. Tyle że kibicujący im młodzi oburzeni zamiast zarabiać więcej, mogą dostać mniej. Gwarancje obejmują tylko zatrudnionych na etacie.

Joanna Solska

Zanim padły pierwsze strzały, z białą flagą wyszedł Władysław Kosiniak-Kamysz. Zaproponował, aby w przyszłym roku najniższe wynagrodzenie wzrosło o 100 zł z obecnych 1750 do 1850 zł brutto. Minister pracy był przekonany, że jego propozycja jest hojna. Pracodawcy RP uznali, że podwyżka powinna wynieść 32 zł, Lewiatan był skłonny zaakceptować 50 zł.

Z kolei związkowcy uważają, że to grubo za mało. Żądają 2 tys. zł! Najniższe wynagrodzenie musi równać się połowie średniego. W kampanii prezydenckiej poparł ich Andrzej Duda, w rewanżu za wsparcie, którego udzielił mu Piotr Duda, szef Solidarności. Mając za sobą przyszłego prezydenta oraz idące po władzę Prawo i Sprawiedliwość oraz Pawła Kukiza, także uważającego, że Polacy muszą zarabiać „dużo więcej", związkowcy nie odstępują.

Piotr Duda zagrzewa do walki, twierdząc, że rząd traktuje pracowników coraz gorzej. Tempo wzrostu najniższych zarobków zamiast rosnąć, w ostatnich latach maleje. W 2012 r. płaca minimalna została podniesiona o 114 zł, w następnym o 100, rok później tylko o 80, a w 2015 zaledwie o 70 zł. Szef Solidarności woli nie dodawać, że tempo wzrostu najniższego wynagrodzenia związane jest głównie z coraz wolniejszym tempem wzrostu cen (od miesięcy obserwujemy nawet ich spadek). Nie mówi też, że od 2007 r. minimalne zarobki w Polsce, według Eurostatu, wzrosły o 86 proc., podczas gdy średnie – zaledwie o 52 proc. Nasze wynagrodzenia się spłaszczają.

Ostateczna batalia o płacę minimalną ma się rozegrać 15 lipca, podczas obrad Komisji Trójstronnej. Zważywszy jednak, że od trzech lat związkowcy komisję bojkotują, także tym razem o wysokości płacy minimalnej zapewne zdecyduje rząd. Teraz, w kampanii wyborczej, zanosi się na polityczną awanturę.

Związkowcy występują z pozycji siły, a OPZZ i Solidarność walczą już ramię w ramię. Wcześniej zwykle bardziej waleczny bywał ten, którego „starszy brat", czyli zaprzyjaźniona partia, nie była akurat przy władzy. Po raz pierwszy w wolnej Polsce wyższej minimalnej płacy zaczęło się domagać Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, gdy jego główna konkurentka, Solidarność, trzymała jeszcze parasol ochronny nad rządem AWS-UW, a szef związku Marian ▶

▶ Krzaklewski kierował rządem z tylnego siedzenia. Wtedy minimalna wynosiła zaledwie 37 proc. średniej, a Komisji Trójstronnej jeszcze nie było.

OPZZ uznało wtedy, że najniższe wynagrodzenie powinno wystarczyć na skromne utrzymanie rodziny składającej się z 3,28 członków. Żeby to wyliczyć, sporządzono koszyk niezbędnych zakupów. Związkowcy mocno wówczas przesadzili, zakładając, że wydatki na alkohol i papierosy powinny być wyższe niż na zdrowie i kulturę. Stracili na waleczności, gdy do władzy doszedł SLD. Pałeczkę przejęła Solidarność.

Teraz konkurencyjne związki połączył wspólny wróg – Platforma Obywatelska. PO nie ma żadnej związkowej przystawki, mogą w nią walić jak w bęben. Robią to od 2011 r. To wtedy Solidarność zaczęła zbierać podpisy pod projektem ustawy mówiącej, że minimalne wynagrodzenie powinno osiągnąć poziom połowy średniej płacy, a OPZZ postanowiło wesprzeć konkurenta. Koalicja projekt związkowej ustawy schowała jednak do sejmowej zamrażarki, wściekłość związkowców narastała. Teraz nadszedł dobry moment, aby dać jej upust.

Wraz z minimalną drożeją „podwiązki"

Sytuacja polityczna w kraju wyjątkowo takim żądaniom sprzyja, ale spory o płacę minimalną toczą się dziś w całym bogatym świecie. Zagwarantowanie przez rządy wysokości najniższych zarobków traktuje się jako narzędzie do walki z gwałtownie pogłębiającymi się nierównościami dochodów, ma zatrzymać proces ubożenia. Nawet klasycy liberalizmu uważali, że pracownik musi zarabiać przynajmniej tyle, żeby móc na skromnym poziomie utrzymać rodzinę. A coraz częściej nie zarabia.

Od 2016 r. najniższa płaca godzinowa w Stanach Zjednoczonych ma więc wynosić 10 dol. 10 centów. Gwarantem jest prezydent Barack Obama. Niechcący temat wywołała największa na świecie sieć handlowa Wal-Mart. Liberalnych Amerykanów wzburzył fakt, że płaci ona swoim pracownikom tak mało, że muszą wyciągać rękę do pomocy społecznej. Zbyt niskie zarobki sprawiają więc, że państwo z kieszeni podatników pośrednio dotuje bogatych akcjonariuszy Wal-Martu. Ustawowe podniesienie najniższej płacy ma zmusić wszystkich pracodawców do płacenia ludziom co najmniej tyle, żeby nie musiało ich wspomagać państwo.

Ten argument aktualny jest również w Polsce. Zbyt niskie zarobki powodują, że rośnie grupa tzw. biednych pracujących. Stało się coś bardzo złego – praca przestała chronić przed nędzą. Do niedawna nędza groziła tylko tym, którzy byli bez pracy. Więc żądanie związków, by polscy pracodawcy musieli płacić więcej, nie wydają się bezzasadne.

Związki mają też inne argumenty. Słusznie uznają, że najsilniejszym motorem napędzającym polską gospodarkę, jest popyt wewnętrzny. Szybciej ruszy ona do przodu tylko wtedy, gdy zaczniemy kupować. Ale jak mamy to robić, skoro zarabiamy za mało? Ten motor coraz słabiej pracuje, a firmy nie inwestują. Podniesienie wynagrodzeń najniżej uposażonych ożywi popyt, a do budżetu państwa popłynie więcej podatków. Zyska także ZUS. Zdumiewające, że rząd jeszcze zwleka.

Argumentów związków słucha się miło, ale druga strona – rząd – też ma swoje racje. Podniesienie płacy minimalnej nie tylko zmusza firmy do płacenia ludziom więcej. Zwiększa też poważnie wydatki budżetu na „podwiązki", czyli na różne rodzaje zasiłków społecznych, których wysokość uzależniona jest od płacy minimalnej. Specjaliści wyliczają, że te wydatki są większe niż potencjalne nowe wpływy do budżetu. Szczerze jednak trzeba przyznać, że tym razem rząd nie walczy o „podwiązki". W kampanii wyborczej zanosi się na tak wysoką licytację wydatków, że „podwiązki" z pewnością nie okażą się najdroższe. Gdyby tylko o nie chodziło, nie byłoby przedmiotu sporu.

> Właściciel martwi się tylko o jedno – jak przetrwać. Na razie najłatwiej przetrwać kosztem pracowników. Nadzieja, że podniesie im płacę minimalną, wydaje się płonna.

W Europie płacę minimalną ma ponad 20 krajów i wiadomo, że z tym narzędziem trzeba obchodzić się ostrożnie. Operować nim raczej jak lancetem niż siekierą. Może mieć bowiem nie tylko dobre, ale też złe skutki. Zbyt wielka troska rządów o najgorzej uposażonych pracowników kończy się zwykle tym, że tracą oni pracę.

Najbardziej narażone są osoby najniżej wykwalifikowane oraz młode, bez zawodowego doświadczenia. Przekonała się o tym Francja, gdzie w pewnym momencie płaca minimalna przekroczyła połowę średniej. Wskaźnik bezrobocia wśród absolwentów i najniżej wykwalifikowanych natychmiast podskoczył. Grecy też już to przerobili.

Są kraje w Europie, które wysokości minimalnych zarobków nie wyznaczają wcale: m.in. Włochy i kraje skandynawskie. Do tego roku minimalnej nie miały także Niemcy. Na temat wysokości minimalnych wynagrodzeń związki dogadywały się z pracodawcami w poszczególnych branżach. Ale od tego roku Niemcy wprowadziły minimalną płacę na poziomie krajowym, 8,5 euro za godzinę. Co się zmieniło? Związki, wspólnie z rządem Angeli Merkel, uznały, że gwarantowaną godzinówkę można świetnie wykorzystać jako narzędzie do walki… z zagraniczną konkurencją.

Niemieckie firmy, m.in. transportowe, z powodu zbyt wysokich zarobków pracowników zaczęły być wypierane z europejskiego, a nawet własnego rynku przez tańszy transport z Litwy, Łotwy czy Polski. Niemcy zażądały więc, żeby zagraniczni konkurenci przejeżdżając przez ich kraj, płacili swoim kierowcom niemiecką stawkę godzinową. Wiedzą, że ich na to nie stać. W wyniku wysiłków dyplomatycznych premier Ewy Kopacz, przekonującej, że jest to niezgodne z unijnym prawem, Niemcy swoje żądanie zawiesiły.

Ich śladem poszła jednak Norwegia, która właśnie ogłosiła, że wprowadza minimalną stawkę na poziomie 18 euro za godzinę. W ten sposób już żadna zagraniczna ciężarówka do tego kraju nie wjedzie. Norwegia nie jest członkiem Unii, więc nic jej zrobić nie można. Ten przykład pokazuje, że zupełnie inne skutki ma śrubowanie minimalnych zarobków w bardzo bogatej gospodarce niż w dopiero rozwijającej się. Wysokie stawki w Norwegii będą chronić tamtejsze firmy przed zagraniczną konkurencją. W Polsce wiele firm mogą dobić.

W koszyku mamy więcej niż w portfelu

Waleczność związków może dziwić, ponieważ w czasie ostatnich ośmiu lat, czyli rządów głównego gnębiciela „ludzi pracy najemnej", koalicji PO-PSL, płaca minimalna wzrosła o 86 proc. Rosła więc dużo szybciej niż ceny. Najszybciej w naszym regionie Europy. Do osiągnięcia poziomu postulowanego przez związki jest bliżej niż kiedykolwiek. Minimalna płaca sięga już 47 proc. średniej. Ale mało kto widzi jakieś powody do radości, bo płaca minimalna w Polsce przestała oznaczać gwarancję najniższych zarobków. Są jeszcze niższe. Od ludzkiej strony patrząc, minimalna płaca staje się kategorią teoretyczną. Trzeba bowiem na problem spróbować spojrzeć oczami pracodawców.

Obecna płaca minimalna, 1750 zł brutto, oznacza, że pracownik otrzymuje „na rękę" zaledwie 1286 zł. Ale pracodawcę kosztuje o wiele więcej, bo 2113 zł. Jeśli płaca minimalna wzrosłaby o 100 zł, pracownik zarobiłby „na rękę" dodatkowo 70 zł, ale firma wydałaby prawie 120 zł,

Płace i inflacja 2006–14

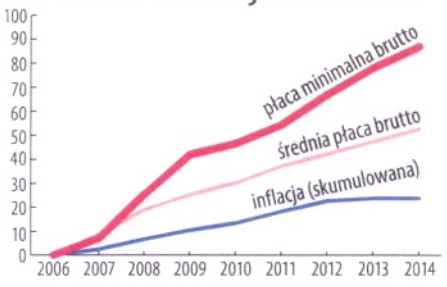

Rok 2006 jest rokiem bazowym
Źródło: GUS, obliczenia własne

więc kosztowałby ją 2231 zł. Dla wielu polskich przedsiębiorców to istotna różnica. Dlatego kombinują, zastępując umowy o pracę zleceniami. Gwarancja płacy minimalnej zleceń nie dotyczy.

Wielka wojna związków zawodowych z rządem dotyczy 1,34 mln osób otrzymujących płacę minimalną. To dane Ministerstwa Pracy i Spraw Społecznych, oparte na wyliczeniach GUS. Natomiast na umowach-zleceniach pracuje obecnie 3,5–4 mln osób (to jedynie dostępne wyliczenia Instytutu Badań Strukturalnych), czyli – 2,5 razy więcej. Walka o wyższe najniższe zarobki tych ludzi nie dotyczy. Dotyczyłaby, gdyby związki walczyły o wyższą płacę godzinową dla wszystkich, bez względu na formę zatrudnienia.

Podniesienie płacy minimalnej dotyczy tylko osób pracujących na etacie. „Śmieciarze" na nim nie skorzystają.

Za kilka miesięcy może nawet stracą, a ich wkurzenie obróci się przeciwko rządowi. Bo to rząd, pod naciskiem związków zawodowych, „ozusował" od nowego roku umowy-zlecenia. Chodziło o to, żeby tym pracownikom drugiej kategorii pracodawca musiał płacić przynajmniej składkę emerytalną i chorobową. Żeby, w razie choroby, mogli dostać zasiłek. Ale pracodawcy większych kosztów pracy ponosić nie chcą. Publicznie ostrzegają, że sumy, które będą musieli przekazywać do ZUS, odejmą pracownikom od dotychczas wypłacanych wynagrodzeń. Z własnej kieszeni ich nie wyłożą.

Czyli ktoś, kto do tej pory dostawał np. 1,5 tys. zł brutto, otrzyma jeszcze mniej. Minus składki na ZUS. Będzie więc gorzej zamiast lepiej. Takiej postawy przedsiębiorców wystraszył się nawet Lewiatan. Organizacja apeluje, by firmy nie zmniejszały sum, które zleceniobiorcy dostają na rękę. To grozi już bowiem wybuchem społecznym.

Zarabiamy za mało, ale nie ma kto płacić

Pracodawcy przywołują też ostatnie badania Eurostatu, z których płynie wniosek, że zarabiającym płacę minimalną jest o wiele lepiej, niż nam się wydaje. Zamiast prostego zestawienia wysokości płacy minimalnej w różnych krajach europejski odpowiednik naszego GUS porównał jej siłę nabywczą – co za te pieniądze w różnych krajach można kupić, uwzględniając różnice cen. Wychodzi, że stać nas na prawie to samo co Greków, choć u nas płacy minimalnej sporo jeszcze brakuje do 500 euro, a oni otrzymują 760. Przegoniliśmy Portugalczyków i wszystkie kraje naszego regionu. W rankingu, w którym uwzględniono 28 krajów europejskich oraz USA, Polska znalazła się na przyzwoitym, 14. miejscu.

Danymi Eurostatu udowodnić można każdą tezę. Także tę, że Polacy zarabiają za mało. W Polsce praca opłacana jest gorzej niż w innych krajach. Tylko 37 proc. naszego produktu krajowego brutto, a więc wytworzonego bogactwa, wędruje do kieszeni pracujących. Reszta trafia do właścicieli firm. Najnowsze prognozy przewidują, że te proporcje zysków z pracy i kapitału w nadchodzącym roku będą jeszcze gorsze. Problemem polskich pracowników są zbyt niskie zarobki ogółu pracujących, a nie – zbyt niska płaca minimalna.

Z badań NBP także wynika, że wcale nie jesteśmy nadmiernie roszczeniowi. Od wybuchu światowego kryzysu finansowego w 2008 r. tempo wzrostu wydajności w naszym kraju jest szybsze od tempa wzrostu wynagrodzeń. Dostajemy więc mniej, niż wypracowujemy. Premię zgarniają właściciele firm, niesprawiedliwie dzieląc się nią z pracownikami. Byłoby to uzasadnione tylko wtedy, gdyby te zyski przeznaczali na inwestycje albo badania. Tak jednak nie jest. Produkujemy to, co wymyślą inni. Polskie innowacje ani polskie marki globalne na świecie nie są znane. Rodzimi kapitaliści zarobione pieniądze trzymają w bankach, nierzadko zagranicznych. Najwyraźniej nie mają w sobie genu kapitalizmu, który nakazuje rozwijać firmę. Albo nie mają pomysłu na rozwój.

Wielkie koncerny zagraniczne nie zaczną płacić więcej, bo nie muszą. Według Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych i tak zarobki w nich są wyższe niż w firmach polskich. To niezły pracodawca. Można tam liczyć, jeśli nawet nie na pieniądze, to z pewnością na zdobycie kwalifikacji oraz doświadczenia zawodowego. Niektóre, jak chorzowski Alstom Konstal, podniesienia płacy minimalnej nawet nie odczują. Mają własną, zakładową minimalną – to 2,8 tys. zł. Zatrudniają osoby wysoko wykwalifikowane, a im trzeba płacić więcej.

Ale to nie jest polska norma. Największym pracodawcą w kraju są mikrofirmy zatrudniające mniej niż 9 osób. W sumie, jak wyliczył GUS, zatrudniają aż 40 proc. ogółu pracujących. Panujące w nich reguły decydują o tym, jak postrzegamy obecny rynek pracy. Po lekturze najświeższego raportu „Młodzi na rynku pracy. Pod lupą", sporządzonego pod patronatem Polskiej Organizacji Rozwoju Przedsiębiorczości, można o tych firmach powiedzieć jedno – trudno je polecić nawet największemu wrogowi. To fatalny pracodawca, który trafiających tu młodych niczego raczej nie nauczy. Żadnej ścieżki kariery zawodowej nie zaproponuje, przyzwoicie nie zapłaci.

W Europie małe firmy uznawane są za podstawę gospodarki, u nas ta podstawa jest wyjątkowo krucha. O ile w Niemczech mała firma zatrudnia przeciętnie 12 osób, o tyle w Polsce zaledwie trzy. Ale z tych trzech, jak wynika z raportu, etat ma jedna. I to minimalny, o wyższej pensji się tu z nowo przyjmowanym pracownikiem nie rozmawia. Legalna pensja minimalna stała się w małych polskich firmach tym, czym niegdyś była średnia płaca – marzeniem. Druga zatrudniona osoba to właściciel albo ktoś na śmieciówce. Sorry, taki mamy kapitalizm.

Na pytanie, czy w ostatnich 5 latach firma wprowadziła jakąś innowację, aż 84 proc. respondentów odpowiada – nie. A z badań NBP wynika, że właściciele tych firm nie mają żadnej strategii rozwoju, nie myślą o tym, jakie miejsce na rynku chcieliby zajmować za 5 czy 10 lat. Właściciel martwi się tylko o jedno – jak przetrwać. Na razie najłatwiej przetrwać kosztem pracowników. Nadzieja, że podniesie im płacę minimalną, jeśli zmusi go do tego prawo, wydaje się płonna. Raczej wypchnie ich do szarej strefy. Im mniej satysfakcjonującą pracę oferują małe polskie firmy, tym mniej muszą dopieszczać pracowników duże.

Związkowcy mają rację, mówiąc, że zarabiamy za mało, a minimalne zarobki nie dają szansy utrzymania rodziny. Tyle że najgorzej uposażeni niekoniecznie zarobią więcej, kiedy płaca minimalna zbliży się do średniej. Mogą w ogóle stracić z oczu płacowy peleton. Rozwarstwienie dochodu po polsku polega na tym, że jedni zarabiają za mało, a inni – jeszcze mniej.

Joanna Solska

> Największym pracodawcą w kraju są mikrofirmy zatrudniające mniej niż 9 osób. Niestety, trudno je polecić nawet największemu wrogowi. To często fatalny pracodawca.